

parkietów, a niebo zagląda przez podziurawione sufit.

Po dwóch godzinach Lupin wraz ze swoją eskortą zdążył obejść wszystko.

Choć nadrabiał miną, w gruncie rzeczy wiedział teraz tyle, co i w pierwszej chwili. W więzieniu, chcąc podzielać na wyobraźnię swojego gościa, blagował, udawał, że wie wszystko, a właściwie szukał dopiero, od czego tu zacząć szukać.

Złe — myślał chwilami — źle, coraz gorzej! Zresztą brak mu było zwykłej jasności głowy. Prześladowała go myśl o tym nieznanym, o tym mordercy, o potworze, który szedł za nim trop w trop...

Jakim sposobem tajemnicza ta osobistość mogła iść za jego śladem? Jakim sposobem dowiedziała się o jego wyjściu z więzienia i o szlakach jego drogi? Czy to była cudowna intuicja, czy też rezultat ściślejszych informacji? A jeśli tak — za jaką cenę, jakimi obietnicami, czy groźbą — mógł on je otrzymać?

Wszystkie te pytania pokutowały w głowie Lupina.

Około czwartej jednak, odbywszy ponowny spacer po ruinach, w czasie którego daremnie badał kamienie, mierzył grubość murów — oglądał kształt i powierzchnię przedmiotów, stawiał pytanie hrabiemu:

— Czy nie został przy życiu żaden stary sługa ostatniego w. księcia, który mieszkał w tym pałacu?

— Cała ówczesna służba rozproszyła się po świecie. Jeden tylko pozostał w tych stronach, ale ten umarł dwa lata temu.

— Bezdziennie?

— Miał syna, który się ożenił i został wygnany wraz z żoną z powodu złego prowadzenia się. Ci pozostawili tu najmłodsze ze swoich dzieci, córeczkę imieniem Izilda?

— Gdzie ona mieszka?

— Tu mieszka, na końcu zabudowań dworskich. Stary dziadek służył gościom zwiedzającym za przewodnika, w czasach, gdy wolno było zwiedzać zamek. Odtąd mała Izilda mieszka stale w tych ruinach, gdzie ją się przez litość znosi: to biedne stworzenie niespełna rozumu, które ledwie mówić umie, a sama nie wie, co mówi.

— Czy zawsze takim był jej stan?

— Zdaje się, że nie zawsze. Doszedłszy do lat dziesięciu zwolna do stała pomieszania zmysłów.

— Może wskutek zmartwienia, albo przestrawu?

— Nie, mówiono mi, że bez powodu. Ojciec był alkoholikiem, a matka odebrała sobie życie w przystępie obłędu.

— Chciałbym ją widzieć — oświadczył Lupin.

Hrabia uśmiechnął się dość dziwnie.

— Naturalnie, może ją pan zobaczyć.

Znajdowała się właśnie w jednej z izb, które jej oddano.

Lupin zadziwił się, ujrawszy drobne, milutkie stworzonko, bardzo szczupłe, bardzo blade, ale prawie ładne z blond włosami i delikatną twarzyczką. Oczy jej zielone, koloru morskiej wody, miały wyraz mglisty, marzący, jak oczy niewidomej.

Zadał jej kilka pytań, na które Izilda nie odpowiedziała wcale i jeszcze kilka, na które odpowiedziała zdaniem bez związku.

Nalegał, ująwszy rękę jej bardzo łagodnie i rozpytywał przyjacielskim głosem o dziadka i o ten okres czasu, gdy jeszcze była przy pełnym rozumie; to czyniąc, usiłował obudzić w niej wspomnienia dzieciństwa, wspomnienia dziecka, swobodnie bujającego wśród majestatycznych ruin zamczyska.

Ona jednak milczała, utkwawszy oczy w przestrzeń, obojętna, może wzruszona... ale wzruszenie nawet nie mogło uspiętej duszy obudzić.

Lupin poprosił o papier i ołówek. Na białej kartce wypisał ołówkiem: „813“.

Hrabia znowu się uśmiechnął.

— I z czego się hrabia śmieje! — zawołał Lupin podrażniony.

— Nic... nic... to mnie zajmuje... to bardzo mnie zajmuje...

Dziewczyna popatrzyła na podsunietą sobie kartkę i z wyrazem roztargnienia odwróciła głowę.

— Jakoś to nie idzie — uśmiechnął się hrabia.

Lupin wypisał wyraz „Apoön“.

Z tą samą nieuwagą odniosła się Izilda do tego.

Nie zniechęcił się jednak i kilkakrotnie nakreślił te same litery, pozostawiając za każdym razem pomiędzy literami rozmaite przerwy. I za każdym też razem obserwował twarz młodej dziewczyny.

Nie drgnęła nawet, utkwawszy oczy w papier z obojętnością niczem niezmacną.

Lecz nagle schwyciła ołówek, wyrwała ostatnią kartkę z rąk Lupina i jak gdyby pod wpływem nagle natchnienia, wpisała dwa „1“ w odstępie między literami.

Lupin zadrżał.

Oto był wyraz skończony: „Apollon“.

Izilda jednak nie puściła z rąk ołówka, ani kartki i z zaciśniętymi palcami, z skupioną twarzą starała się poddać rękę swą pod chwiejne rozkazy nie dołęznego swego mózgu.

Lupin zawisł w gorączkowym oczekiwaniu.



Zaczął oglądać salę metodą, której używał

Nakreśliła szybko, jakby pod wpływem hallucynacji, jeden wyraz — wyraz „Diana“.

— Jeszcze... jeszcze! dalej! dalej! — wołał gwałtownie.

Skręciła palce dokoła ołówka, złamała czubek i drewnem ołówka nakreśliła wielkie „J“. Poczem bezsilna już i wyczerpana, wypuściła z ręki ołówek.

— Jeszcze jedno słowo! Musisz! — rozkazywał Lupin, chwytając ją za ramię.

Z oczu jej jednak zagastych i obojętnych, wyczytał, że ten przelotny przeblisk wrażliwości już się więcej nie rozżarzy.

— Pójdźmy! — rzekł z westchnieniem.

Oddalał się już, gdy dziewczyna zaczęła biec za nim i zastąpiła mu drogę. Przystanął.

— Czego chcesz, mała?

Wyciągnęła dłoń.

— Czego? pieniędzy? Czy to jej zwyczaj zabierać? — zagadnął hrabia.

— Nie — odpowiedź kieszonki dwie złote monety tego wcale nie roje podzwaniać. Lupin spojrzał na

Izilda wyciągnęła monety francuskie, nowiuteńkie i jej niemi radość nie brzośnie. Był

— Skąd ty to masz? — zawołał Lupin, silnie poruszony. — Monety francuskie? Kto ci je dał?... I kiedy?... Czy dziś?... Mów!... Odpowiedz!

Wzruszył ramionami.

— Jaki też głupiec ze mnie! Jak gdyby ona mogła odpowiedzieć!... Mój drogi hrabio, niech mi pan pożyczyci czterdzieści marek!... Dziękuję. Masz, Izildo, to dla ciebie!

Wzięła obie monety, zadzwoniła niemi o tamte w złożonej piątce, poczem wyciągnawszy ramię, wskazała na ruiny pałacu Odrodzenia; gest ten jakoby kierował się raczej ku lewemu skrzydłu i ku górze tego skrzydła.

Czy to był gest odruchowy? Czy też należało go uważać za podziękowanie za złote monety?...

Lupin spojrzał na hrabiego. Ten nie przestawał się uśmiechać.

— Czego to bydlę wciąż się uśmiecha? — myślał w duszy Lupin. — Myślałby kto, że on się ze mnie naśmiewa!

Na wszelki wypadek skierował kroki ku pałacowi, a za nim jego eskorta.

Parter składał się z olbrzymich sal przyjeść. Na pierwszym piętrze od strony północnej ciągnęła się długa galeria, na którą wychodziło dwanaście pięknych sal, dokładnie podobnych wymiarów. Ta sama galeria powtarzała się na pierwszym piętrze, pokoi zaś było dwadzieścia cztery. A wszystko to było puste, zniszczone, w opłakanym stanie.

Wyższych pięter już nie było. Ogienń je strawił.

Lupin godzinę całą chodził, drepnął, klusował niezmordowany, baczną na wszystko.

Gdy wieczór zaczął zapadać, pobiegł ku jednej z dwunastu sal pierwszego piętra, jakby ją sobie specjalnie upatrzył dla siebie tylko wiadomych powodów.

Zdziwił się bardzo, ujrawszy tam fotel, świeżo widać przyniesiony, a w fotelu monarchę, spokojnie palącego cygaro.

Nie troszcząc się jego obecnością, zaczął oglądać salę metodą, której używał, to znaczy, dzieląc pokój na części i badając każdą z kolei.

Po jakich dwudziestu minutach odezwał się.

— Bardzobym prosił Najjaśniejszego Pana, by zechciał poruszyć się z miejsca. Jest tam kominek.

Monarcha pokręcił głową.

— Ten kominek jest taki, jak każdy kominek, a sala ta nie różni się od innych. Ja myślę, panie Lupin, że pan sobie zlekka zażartował ze mnie!

— Jakto, Najjaśniejszy Panie?

— Rzecz prosta. Jeżeli się coś wie, to się tego nie szuka, nie szuka i szukasz od dobrych dziesięciu godzin. Czy panu się nie zdaje, że natychmiastowy powrót do więzienia byłby wskazanym?

Lupin zdumiał się.

— Czyż Wasza Cesarska Mość nie oznaczył jutra w południe, jako ostatecznego terminu? Muszę przecież dokończyć mojego dzieła!

— Pańskiego dzieła! Ależ ono nie jest nawet zaczęte.

— Myli się Wasza Cesarska Mość...

— Daj mi pan dowód, a poczekam do jutra, do południa.

Lupin zastanowił się i poważnie zaczął mówić:

— Z dwunastu sal, które na tę galerię wychodzą, każdą inną ma nazwę, a pierwsza litera takiej nazwy oznacza drzwi każdej sali. Jedna z tych liter, mniej zniszczona ogniem niż inne, wpadła mi w oko. Obejrzałem zatem inne drzwi także i odnalazłem, zaledwie dostrzegalne, dalsze litery, wszystkie wyryte od strony galerii ponad frontonami.

Otóż jedną z tych liter było D., pierwsza litera wyrazu Diana. Inną było A., pierwsza litera imienia Apollon. Te dwa imiona, są to imiona bogów mitologicznych. Czyż inne litery miałyby podobne znaczenie? Znalazłem J.; od J. zaczyna się Jowisz, V. — pierwszą literą Venus, M. — Mury, S. — Saturn i t. d.

(Ciąg dalszy nastąpi).